

Wacław Lewandowski O „wstecznicwie” londyńskich „Wiadomości”

W wypowiedziach krajowych historyków i historyków literatury na temat czasopiśmiennictwa Drugiej Emigracji od lat przejawia się tendencja wartościującego przeciwstawiania paryskiej „Kultury” londyńskim „Wiadomościom”. Paryskiemu miesięcznikowi przypisuje się głęboki intelektualizm, otwartość na problematykę krajową, wreszcie aktualność tematyki, londyńskiemu tygodnikowi zaś – „wspominkarstwo”, stronienie od aktualności, obojętność wobec zagadnień krajowych, płytkość i beznadziejne wstecznicwo, będące wynikiem trwania w ciasnym intelektualnie kręgu lojalizmu państwowego wobec II RP i emigracyjnej „niezłomności”, która wykluczała możliwość dialogu z krajem.

Ograniczmy się do dwóch, wybranych z kilkudziesięciu możliwych, przykładów. Pierwszy monografista „Wiadomości”, Rafał Habielski, przedstawił „Kulturę” jako pismo dysponujące „bezpostaciowym organizacyjnie, jednak swoiście myślącym i poprzez owo myślenie zorganizowanym kręgiem inteligencji”, co miało różnić periodyk Jerzego Giedroycia od całej prasy emigracji londyńskiej, w tym także „Wiadomości”. Adam Dziadek pisał natomiast, że powojenne zmiany ustrojowe w Polsce „wpłynęły na zmniejszenie zainteresowania sprawami krajowymi”, więc „z czasem «Wiadomości» coraz więcej uwagi zaczęły poświęcać wewnętrznym sprawom emigracji. Zaczynając działalność równo z «Kulturą» (w 1946 r.), stanęły na przeciwnym do niej biegunie”. Wprawdzie Dziadek zastrzegł, że zestawienie obu czasopism nie ma charakteru wartościującego, ale proponowana przez niego ogólna charakterystyka periodyków nie pozostawiała złudzeń, które z czasopism było cenione wyżej. „Wiadomości” – pisał – „pełniły głównie funkcję informacyjną, dominowały w nich szczegół, polemika, faktografia”. „Kultura” natomiast „nastawiona jest na szersze, analityczne omówienie, dyskusję”.

Raz po raz w piśmiennictwie pojawia się również błędny, jak sądzę, pogląd, że prąródłem owego niekorzystnego dla londyńskiego tygodnika porównania obu periodyków była głośna dyskusja o nich, opublikowana na łamach „Kontynentów” w 1960 roku. Jak pisał Habielski: „W redakcyjnej dyskusji poświęconej tygodnikowi Grydzewskiego i «Kulturze» uznano tożsamość «linii politycznej» «Wiadomości» z konwencjonalną postawą niezłomności, «antykomunizmu», a nawet, jak uważał Bolesław Taborski, «antykrajowości»”. „Jeszcze emigracja nie zginęła, a Rosja zginie, zginie... głosi nam niefrasobliwie każdy numer – konkludował Taborski – i to wszystko, co głosi w dziedzinie polityki”.

Przeciwagę „Wiadomości” dostrzegano w „Kulturze”. W programie pisma i postawie zespołu cenili „młodzi” londyńscy „dobre” tradycje liberalizmu i racjonalizmu polskiego obok tolerancyjności i otwartości oraz słusznej niechęci wobec szowinizmu i nacjonalizmu.

Dodajmy, że o ile niektórzy z „młodych”, jak Adam Czerniawski, krytykowali „Wiadomości” przede wszystkim za „wsteczność poetyckie”, jakiś, powiedzmy, postskamandrytyzm, o tyle główny ideolog ataku „Kontynentów” na pismo Grydzewskiego, Taborski, który sam współpracował z wieloma instytucjami krajowymi, nieraz zainteresowanymi zagadnieniami życia kulturalnego w sposób zgoła specyficzny, jak Służba Bezpieczeństwa, wytykał mu antykrajowość, tj. niechęć do współpracy z krajem.

„Kontynentczycy” nie byli jednak pomysłodawcami owego wartościującego przeciwstawienia obu pism. Koncept ten zapożyczyli z kraju, od działaczy stronnictwa politycznego ukonstytuowanego wokół koła poselskiego „Znak” i zespołów redakcyjnych wznowionego „Tygodnika Powszechnego”, „Więzi” i „Znaku”. Powstały w październiku 1956 roku Ogólnopolski Klub Postępowej Inteligencji Katolickiej, na czele którego stanął Jerzy Zawieyski, a w skład którego weszli m.in. Antoni Gołubiew, Stefan Kisielewski, Tadeusz Mazowiecki i Stanisław Stomma, zadeklarował poparcie dla Władysława Gomułki i czynny udział katolików w życiu społecznym. Gomułka odwdzieczył się, dając możliwość reaktywacji zlikwidowanych wcześniej katolickich czasopism oraz udzielając niezwiązanym ze Stowarzyszeniem PAX działaczom-katolikom prawa do kandydowania w wyborach do Sejmu PRL. Środowisko to bardzo żywo interesowało się Drugą Emigracją, szybko też uczyniło ją jednym z obiektów swej akcji politycznej, szczególną sympatią obdarzając paryską „Kulturę” jako jedyne poważne pismo emigracyjne, które (piórem Juliusza Mieroszewskiego) poparło Władysława Gomułkę, dając mu kredyt zaufania. Stefan Kisielewski (jak i jego polityczne otoczenie) wiedział, że Jerzy Giedroyc podjął nieformalne starania o debit dla „Kultury” w kraju. Już w listopadzie 1956 roku były emigrant i współpracownik paryskiego pisma Zbigniew Florczak apelował na łamach „Nowej Kultury” o zgodę na jego rozpowszechnianie w PRL. „Kisiel” – felietonista „Tygodnika Powszechnego” – postanowił wesprzeć owe starania. W numerze 13 (428) pisma z 31 marca 1957 wyznał: „Czytam teraz zawsze paryską «Kulturę» – nareszcie zaczęła przychodzić po owych latach, kiedy też przychodziła, ale nie do mnie. [...] «Kulturę» uważam w ogóle za najlepsze pismo wydawane w polskim języku [...]”.

Właśnie w 1957 roku Stefan Kisielewski, już jako poseł koła poselskiego „Znak”, odbył podróż do Francji i Wielkiej Brytanii, gdzie odwiedzał polskie ośrodki emigracyjne. Felietonowe relacje z tych wypraw zamieszczał w „Tygodniku Powszechnym”. W tym samym piśmie opublikowano programowy artykuł Gołubiewa pod niezbyt finezyjnym tytułem *Polska leży nad Wisłą* (TP 1957, nr 43 [458]).

Gdy się czyta emigracyjne pisma – zauważał Gołubiew – spotyka się stale z określeniem: Kraj. O Kraju nie pisze się tam nigdy – Polska.

Polska – to Kraj i Emigracja. [...] Obawa przed wydziedziczeniem z ojczyzny [...] jest to obawa przed wyrzuceniem na margines ludzkości. [...] Dlatego nasza Emigracja robi owo nie odpowiadające rzeczywistości, czysto umowne rozróżnienie na Kraj i Emigrację, które wspólnie ma uchronić ludzi przebywających na obczyźnie od rzeczy najstraszniejszej – od wydziedziczenia. [...] Zadaniem tej mojej wypowiedzi jest próba zbliżenia się z naszymi rodakami z Emigracji [...]. Nie chodzi mi też, by przestali oni koniecznie używać słowa Kraj, skoro do niego przywykli; chodzi o rzecz, nie o nazwę! Myślę po prostu, że będzie im łatwiej i bliżej, jeśli pod słowem Kraj będą rozumieli: Polska. [...] Jest ona jedna, konkretna [...], istniejąca w przestrzeni i czasie, umieszczona na mapie świata [...]. To ją, tę konkretną, umiejscowioną Polskę kochamy, to dla niej chcemy żyć, dla niej pracować, jej służyć. I dzięki temu nikt z nas nie jest wydziedziczony, kto do niej się właśnie jak do swojej ojczyzny przyznaje. Jest ona tu, cała, niepodzielna i żywa.

W swojej *Kronice angielskiej* („Kultura” 1957, nr 11/121) odniósł się do tej wypowiedzi Londyńczyk (Juliusz Mieroszewski).

W Kraju pisząc o emigracji powtarza się w kółko boguojczyźniane komunały w rodzaju że „Polska leży nad Wisłą” i tylko nad Wisłą można dla niej pracować [...]. To jest owa klasyczna formuła, która ma służyć za niezbity dowód, że nawet koncesjonowana opozycja [podkr. WL] ale w Kraju jest lepsza i bardziej skuteczna niż opozycja, wprawdzie niezależna, ale za granicą.

W tym samym numerze „Kultury”, w tekście *ABC polskiej sytuacji*, Mieroszewski pisał, że w Polsce „istnieją dwa tradycyjne nurty myśli politycznej: prawica i lewica. Nurt prawicowy – w konsekwencji obecnego układu – nabrał klasycznych cech wielopolszczyzny”. Dodawał też złośliwie, że dla tejże prawicy „wielopolskim ideałem będzie statut Finlandii”, co było aluzją do Kisielewskiego, który objeżdżał emigrację z prelekcjami na temat programu politycznego „neopozytywistycznego” ruchu „Znak”, który według niego miał realną szansę doprowadzenia do politycznej „finlandyzacji” PRL. Rzecz w tym, że ani Mieroszewski, ani Giedroyc, którzy wspierali Kisielewskiego podczas jego wojaży, nie wierzyli w tę jego „Realpolitik”, koło poselskie „Znak” postrzegali jako klasyczny przykład opozycji koncesjonowanej, niezdolnej do prowadzenia żadnej samodzielnej polityki, tym bardziej do wywarcia wpływu na jakiegokolwiek zmiany ustrojowe w PRL. Nadzieje polityczne wiązał więc Giedroyc z partyjnymi rewizjonistami, nie z grupą „Znak” i „Tygodnika Powszechnego”, o czym mówił po latach w *Autobiografii na cztery ręce*.

Członkowie koła „Znak” za bardzo angażowali się po stronie władzy. W Sejmie głosowali zawsze za. [...] Wszyscy oni traktowali ze śmiertelną powagą swe tytuły, członkostwo w Radzie Państwa itp., i nazbyt na serio wzięli swoje

możliwości jako posłów i działaczy. Pamiętam pogardliwe oceny Kisielewskiego: „Ja jestem politykiem, a pan jest tylko kibicem, który zajmuje się literaturą i takim sobie gadaniem. Ale politykę robimy my”. On uważał się za wielkiego polityka, który prowadzi realistyczną działalność polityczną i ma wpływ na sytuację w Kraju. W przeciwieństwie do członków koła „Znak” rewizjoniści [...] byli nam znacznie bliżsi [...].

W „Wiadomościach” Gołubiewowi odpowiedział Adam Pragier, który w artykule *Gorliwcy* w numerze 1 (614) z 1958 roku uznał wywody z łamów „Tygodnika Powszechnego” za próbę sparaliżowania polskiej akcji niepodległościowej na obczyźnie i nieuchronne następstwo kompromisu z komunistyczną dyktaturą. Warto zauważyć, że teza Gołubiewa – katolickiego publicysty, związanego z rzekomo opozycyjnym ruchem – o „wydziedziczeniu” emigracji pokrywała się, paradoksalnie, z poglądem na duchowość emigrantów prezentowanym w publicystycznej, aczkolwiek zmetaforyzowanej i wierszowanej, *Gawędzie o miłości ziemi ojczystej*, napisanej kilka lat wcześniej przez poetkę występującą wtedy pod sztandarem PZPR.

Tymczasem Stefan Kisielewski, niezrażony brakiem poklasku ze strony Giedroycia, kontynuował swą misję zaznajamiania Polaków w kraju z prawdziwym obliczem Drugiej Emigracji. Relacjonując swe pobyty w Paryżu i Londynie, Kisiel-felietonista konsekwentnie budował obraz emigracji jako swoistego „śmietnika historii”, w którym zamknęli się ludzie, którzy nie chcą brać udziału nie tylko w życiu kraju, lecz także w ogóle – we współczesności. Jedynym wyjątkiem, jakąś enklawą pośród owej wstecznej społeczności emigracyjnej, miała być redakcja „Kultury”.

Ośrodkiem centralnym emigracyjnego wstecznictwa był, zdaniem Kisielewskiego, Londyn z rezydującą tam grupą pisarzy, którzy złożyli podpisy pod uchwałą Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie o nieogłaszaniu przez twórców emigracyjnych swych utworów w kraju, powziętą w 1947 roku i powtórzoną w 1956. W felietonie *Plan wbijania*, z cyklu *Gwoździe w mózgu* (TP 1957, nr 5 [420]) Kisiel komunikował, że „emigracyjne koła londyńskich literatów ([Tymon] Terlecki i niestety mój imiennik [Józef] Kisielewski), [...] postanowili srogo ukarać społeczeństwo polskie za panujący tutaj ustrój i zabronić temu społeczeństwu czytania swoich książek. (Na złość mamusi odmrozę sobie nos i uszy a także złamię nogę)”. Nie bez satysfakcji dodawał, że ofiarą uchwały padnie także Józef Mackiewicz, „który napisał, że los 28 milionów Polaków mieszkających po tej stronie Odry jest mu obojętny a wszelka częściowa poprawa tego losu – wstrętna”, odnosząc się do nieznanych przecież krajowemu czytelnikowi tekstów Mackiewicza, w których krytykował on wszelkie koncesjonowane opozycje jako korzystne dla komunistów próby „ulepszania” komunizmu i zwalczania antykomunizmu. Do sprawy postawy emigracyjnych pisarzy Kisiel powracał wielokrotnie, na przykład wtedy, gdy relacjonował swoje bezskuteczne próby namówienia ich do współpracy z krajem. W felietonie *Polacy w Londynie II* (TP 1957, nr 49 [464] z 15 grudnia) czytamy, jak następuje.

Nie udało mi się też „agitować” pisarzy. Na obczyźnie znajduje się kawał literatury polskiej dawnej i nowej [*sic!*]. Nie namawiałem nikogo do powrotu (skąd wziąć mieszkanie?), namawiałem za to do wzięcia udziału w życiu literackim Kraju, do udostępnienia swej twórczości polskiemu społeczeństwu. Toczy się u nas – mówiłem – walka o oblicze naszej kultury, o psychologię narodu, o jego duchową postawę, o myślowe horyzonty. Uchylenie się dla częściej demonstracji od tej walki, to dezercja, egocentryzm, jeśli nie zgoła wygodnictwo i egoizm. – Nie podoba Wam się to, co jest w Polsce – mówiłem dalej: – zgoda – mnie się też mnóstwo nie podoba. A więc staram się wpłynąć na zmianę tego, co mi się nie podoba, staram się przekonywać, pisać, walczyć. A Wy co — siedzicie w Londynie! („Zawołał: nie pozwałam i uciekłam na Pragę.”) Nie podoba Wam się rząd, więc karzecie społeczeństwo, uchylacie się od Waszej społecznej i narodowej roli, rezygnujecie z wpływu na dzisiejsze pokolenie Polaków, oddajecie kulturę bez walki tym, których oficjalnie mienicie się przeciwnikami. Gdzież tu sens, logika, konsekwencja, charakter? Można tak mówić długo – ale bez rezultatu. Nie odpowiedzą Wam wprost [...] a potem zareplikują: – No ale w Polsce nie moglibyśmy pisać wszystkiego, co chcemy. Tacy z nich maksymaliści i wygodnicy. Za to w Londynie mogą napisać wszystko co chcą i cóż z tego? Świat przewrócili?! Czyta ich w najlepszym wypadku parę tysięcy ludzi, świat o nich nic nie wie, są polskim zaściankiem, jedna tylko paryska „Kultura” umiała się włączyć w jakiś uniwersalny nurt myśli zachodnioeuropejskiej. [...] – Pał ich sześć! – powie ktoś popędliwy. Nie chcą dla nas pisać, to nie – damy sobie sami radę. Ale mnie ich jednak szkoda: to kawał polskiej literatury i kultury niszczący, jak niszczyje każda roślina wyrwana ze swojej gleby i klimatu.

W cytowanym już felietonie z 31 marca 1957 roku ponownie poruszał sprawę uchwały ZPPnO i apelował do Gombrowicza, by ten przyjechał do kraju:

A więc w imię świętego dla nas obu UNIWERSALIZMU wzywam Gombrowicza, aby czasowo przyjechał do Polski. Albowiem my tutaj w kraju żyjemy problemami uniwersalistycznymi. Żyjemy mianowicie KOMUNIZMEM i to bez względu na to, czy się z nim zgadzamy czy nie (ja, jak wiadomo się z nim nie zgadzam). [...] Związek Pisarzy Polskich w Londynie powziął uchwałę niemądrą [...] niedrukowania w kraju swoich utworów [...].

Felieton *Polacy w Londynie II* przyniósł też ogólną charakterystykę mentalności mieszkańców „polskiego Londynu”, nie tylko literatów.

Zdumiewający jest panujący tutaj pogląd, że historia Polski została przerwana, że Polska nie istnieje. Nawet Polska podzielona pomiędzy trzy zabory istniała, ale Polski dzisiejszej, 30-milionowej, nie ma. W rozmowach omija się ten temat, jak historię córki, która zeszła na złą drogę, zaś mówienie np. o powrocie do Kraju to wręcz skandaliczna nieprzyzwoitość. W ogóle opowiadania

o Kraju nie budzą tutaj zainteresowania, chyba że ściśle potwierdzają to, co myślą na ten temat londyńscy Polacy. Oni nie potrzebują żadnych informacji, oni wiedzą lepiej. W okresie minionym próbowano nam w Polsce stworzyć obiegowy, schematyczny pogląd dotyczący stosunków na Zachodzie. Nie daliśmy się, bo zachowaliśmy normalne europejskie empiryczne myślenie i zdrowy rozsądek. Natomiast Emigracja w swej dużej części pozwoliła sobie wmówić płaski, wąziutki a schematyczny obraz życia w Polsce; z czasem do niego przywykła, wygodnie jej z nim i bardzo się gniewa, gdy próbować coś w nim zmienić. U podstaw tego leży z jednej strony niewiara w siłę, prężność i w ogóle autentyczność Kraju, z drugiej – życiowe oderwanie się od jego spraw. Ci ludzie nie mogą sobie nawet wyobrazić, że nie wyobrażają sobie tego, co się w Polsce dzieje, że wyobraźnia, przez wiele lat pozbawiona pokarmu, jakim jest konkretny dzień codzienny, przestaje funkcjonować albo funkcjonuje wadliwie, dając obraz fikcyjny i irracjonalny. Nawet u ludzi żarliwie pragnących zrozumieć dzisiejszą Polskę i nawiązać z nią kontakt (przychodzili do mnie i tacy, najczęściej, co ciekawe, młodzi) odtworzenie sobie tutejszego dziwnego zapewne świata nastęrcza niepokonalne wręcz trudności [...] Gorzej jest ze starszymi, noszącymi w oczach obraz dawnej, nie istniejącej już Polski, do którego przymierzają wszystko. Ci znowu mają kompleks wyższości, nas uważają za podludzi o zniewolonych umysłach, o Polsce słuchać nie lubią, bo im to zaciera ów hodowany w wyobraźni „kraj lat dzieciennych”. Trudna z nimi rozmowa, nie wierzą, gdy się mówi o Kraju, albo też wierzą na opak: gdy mówię, że w Polsce jest źle, uważają, iż kokietują opozycyjnością, aby zdobyć ich zaufanie i osiągnąć cel propagandowy; gdy wyrażam w jakiejś dziedzinie optymizm, oczywiście robię to ze strachu lub w złej wierze albo też dla propagandy. To oni mają pokręcone mózgi, a uważają, że to ja. Po prostu komedia omyłek, którą nie wiadomo jak rozplątać.

Nieco wcześniej, w felietonie *Polacy w Londynie I* (TP 1957, nr 48 [463]) wskazał Kisiel źródło owego „pokręcenia” emigranckich mózgow – trybunę wsteczności i zaściankowości. Były nią, oczywiście, „Wiadomości” – „pismo niezbyt budujące: wspominkowo-emerytalne, snobistyczne i staroświecko dostojne, pozbawione wszelkich ambicji z jednej strony informowania Emigracji o życiu kulturalnym kraju, a z drugiej strony wpływania w jakiś sposób na owo życie. Jest to w pełnym tego słowa znaczeniu pismo prowincjonalne: ma swoje zamknięte, ale stałe grono odbiorców, cieszy się z tego, że w ogóle żyje i niczego więcej nie pożąda. Jakież kontrast z ambitną, poszukującą, światoburczo uniwersalną, dynamiczną «Kulturą»!”

Warto zdać sobie sprawę z wielkiego zasięgu i społecznego wydzźwięku felietonów Kisielewskiego z tamtego czasu. W popaździernikowej Polsce 1957 roku mało który inteligent miał jakąś wiedzę o Drugiej Emigracji i jej dorobku. Kisielewskiego czytano natomiast z ufnością jako przedstawiciela „katolickiej opozycji”, uczestnika niekomunistycznego projektu politycznego, w którym wielu pokładało jakieś nadzieje na pożądane zmiany w kraju. Nim koncesyjność i polityczna

bezpłodność koła „Znak” w pełni ujawniła swe oblicze, musiały minąć lata. Tymczasem uczestnicy tego ruchu cieszyli się sporym autorytetem i danym niby czek *in blanco* zaufaniem. „Tygodnik Powszechny”, postrzegany jako organ katolickiej opozycji, był szeroko czytany, sam Kisielewski zadbał też o przedruk swoich ważniejszych „emigracyjnych” felietonów – ukazały się w książce *Opowiadania i podróże*, wydanej przez wydawnictwo „Znak” w Krakowie, w 1959 roku.

Stereotypowe widzenie „Wiadomości” jako pisma „wstecznego”, aintelektualnego, zaściankowego i „wspominkarskiego”, które należy przeciwstawić „uniwersalistycznej” „Kulturze”, utrwaliło się zatem w krajowej świadomości na długo przed rozpoczęciem krajowych badań dorobku Drugiej Emigracji. Historycy, powtarzając sądy o małej, w porównaniu z „Kulturą”, wartości „Wiadomości”, powielają myślową kliszę, którą wgrali w umysły i utrwalili twórcy pewnej pseudoopozycyjnej doktryny, która miała kiedyś pewien autorytet i sympatię społeczeństwa, nim skompromitowała się jako nietrafna politycznie i *de facto* kolaboracyjna, nie – antykomunistyczna.